

dane personalne relacjonującego: Stanisława Chmiel,
 nazwisko panieńskie: Krugły
 data i miejsce urodzenia: 8.VII.1925r., Białohruda, powiat lidzki,
 województwo nowogródzkie.
 miejsce zamieszkania w latach 1939-1945: Białohruda nad rzeką
 Dzitwą, pd-zach od Lidy.
 obecne miejsce zamieszkania: Lublin, ul.Dziewanny 9/41
 wykształcenie: średnie
 ostatnie miejsce zatrudnienia: telefonistka w centrali
 w latach 1939-1945: szycie w domu, od 1942r. w partyzantce
 narodowość: polska

1.IX.1939 roku byłam uczennicą I klasy lidzkiego gimnazjum
 im.Hetmana Karola Chodkiewicza. W momencie wybuchu wojny
 i do 17.IX. Lida nie była bombardowana. Przez stację kolejową
 przejeżdżały transporty wojskowe, a my uczennice rozdawałyśmy
 żywność jadącym na front żołnierzom. Żołnierze byli pełni
 optymizmu.

Dnia 17.IX. wkroczyli Sowieci - żołnierze w spiczastych czap-
 kach. To nie byli Rosjanie, raczej Azjaci, brudni i śmierdzą-
 cy. Chodzili po domach i myśleli, że mieszkają tutaj sami
 burżuje i "pomieszczyki". Ci pierwsi byli bardzo zaszokowani,
 że u nas wszystko jest. U mojej ciotki dotykali słoniny
 i pytali, czy jest ona prawdziwa. NKWD pojawiło się dopiero
 potem. Samego dnia 17.IX.1939 roku walk specjalnych o miasto
 nie było, mimo że przed wojną w Lidzie stacjonował 77 pułk
 piechoty. Pod Lidą była fabryka broni i tam było słyhać
 wybuchy, ale to prawdopodobnie nasi, polscy żołnierzy wysadzi-
 li ją w powietrze.

Na początku głowy podnieśli Żydzi i Białorusini. Obserwowa-
 li wszystko co się działo. Zdarzyły się również sporadyczne
 wypadki denuncjacji. Potem dopiero zaczęły się wywózki na
 Sybir. Zaraz po wkroczeniu Sowietów, w pobliżu Białohrudy,
 w majątku, parobcy zamordowali właścicieli, państwa Kuncewiczów.
 Zmieniły się też bardzo moje koleżanki Litwinki. Po zajęciu
 Wilna przez Litwinów, zrobiły się bardzo nacjonalistyczne
 i odwróciły się od Polaków.

Rosjanie zajęli od razu wszystkie urzędy. Byli to przede wszystkim ludzie bez wykształcenia, ale przy tym uważający siebie za bardzo ważne osoby. Na początku sowieckiej okupacji zlikwidowano wszystkie polskie instytucje gospodarcze i kulturalne. Polacy, którzy coś kiedyś znaczyli w Lidzie masowo uciekali z miasta.

Część polskich nauczycieli pozostała, ale od początku wszedł nakaz, by nauczać po rosyjsku. Zmienił się tylko dyrektor gimnazjum. Mimo mieszanej klasy nauczano jednak początkowo po polsku. Dopiero później, gdy kadra wykruszała się przez między innymi aresztowania i deportacje, sprowadzono nauczycieli Żydów i Rosjan. Byli oni bardzo słabo przygotowani do zawodu. Nauka języka rosyjskiego odbywała się byle jak. Z miejsca skasowano nauczanie religii, zresztą na prowincji aresztowano księży.

W lutym 1940r. rozpoczęły się wywózki na Sybir. Ludzi wywożono w bydłowych wagonach, w silny mróz. Pamiętam, że pierwszy dzień deportacji to była sobota. Ludzie masowo kryli się przed deportacją. Transporty stały na bocznicach kolejowych, np. w Białoehrudzie. W takim transporcie znajdowała się moja koleżynka Marysia. Biegałam wokół transportu, szukając jej i wtedy NKWD-zista zapytał mnie, czy też chcę z nimi jechać? Ja na to prosiłam, by wypuścili Marysię. On mi wtedy odpowiedział: "Wied, Sybir tożę russkaja ziemia". Podobnie było w Lidzie. Ludzi wywieziono wtedy do Krasnojarskiego Kraju.

Na prowincji były ostre aresztowania księży. Wiele kościołów stało pustkami. W Białoehrudzie aresztowano wtedy księdza-staruszkę Horodkę. Pijarom w Lidzie odebrano Szkołę Handlową. Ludzie ukrywali kapliczki przydrożne, podobnie również krzyże.

W Lidzie było kilku Polaków-komunistów i oni cieszyli się bardzo, że nastały Sowiety. Żydzi mówili, że "teraz jest nasze prawo". Oni głównie skupili w swoich rękach sprzedaż chleba kartkowego i wydzielali go Polakom. Wszyscy ludzie żyli pod strachem aresztowania, a przerażenie wzrastało na sile, gdy na ulicy zauważyło się "hapuny" - samochody aresztanckie. Zaraz też znaleźli się kolaboranci i wśród Polaków.

Ludzie zaczęli się też powoli organizować. Wiele młodzieży ukrywało się. U nas w domu była również taka kryjówka dla zagrożonych aresztowaniem.

Sowieci bardzo ośmieszali przedwojenną Polskę, na co my protestowaliśmy, wskazując na widoczne fakty, chociażby to, jak dobrze się nam żyło przed wojną.

W sklepach brakowało bardzo wielu rzeczy. Chleb racjonowany był "po uważaniu". Ludzie ratowali zaopatrzenie na wsi, ponieważ tam było jeszcze można coś dostać.

Bardzo wiele osób z inteligencji było aresztowanych, inni się ukrywali, ale w Lidzie pozostali jeszcze polscy lekarze, jak np. bracia Sienkiewiczowie /prowadzili później kursy sanitarne dla partyzantki/. Życia kulturalnego nie było żadnego, oprócz domowego. Ludzie zbierali się po domach, śpiewali patriotyczne pieśni. Układane były antysowieckie wiersze-szyfry, które krążyły potem opowiadane znajomym. Po represjach, które spadły na kościół i księży, na msze w zasadzie chodziły same kobiety, tak że zdarzało się często, że w kościele oprócz księdza i organisty nie było innych mężczyzn. W kościele w Białoehrudzie organista wzywany był do NKWD, które kazało mu śledzić księdza. On oczywiście powiadomił o tym proboszcza. Trwały przez cały czas represje wobec zamożnych rodzin.

W szkole był bardzo niski poziom nauczania. Młode rosyjskie nauczycielki same przed nami przyznawały się, że nigdy przedtem nie uczyły. Były straszliwie przestraszone ze względu na donosicielstwo. Nie żądano wtedy od nas rezygnacji z chodzenia do kościoła, ale nie było już wtedy ani hucznie obchodzonych świąt, odpustów, procesji. Księża często ze strachu nie głosili kazań.

W tym czasie zostali wywiezieni na Sybir moi wujkowie Siemaszkowie. Wywieziono ich po prostu za polskość.

W czerwcu 1941 roku, w przeciwieństwie do Rosjan, którzy do Lidy weszli, wjechali do miasta Niemcy. Białoehroda i Lida były wtedy bombardowane ze względu na linię kolejową. Po wkroczeniu Niemców, w lidzkim gimnazjum ulokowało się SD /niemiecka Służba Bezpieczeństwa/. Na dziedzińcu szkoły hitlerowcy spalili szkolne archiwum. Ludzie przyjęli wejście Niemców ze zgrozą, ale i z ulgą, bo skończyły się wywózki na Sybir. Niemcy byli o wiele kulturalniejsi od bolszewików. Można było z nimi handlować. Np. na moście na Dzitwie stała niemiecka wachta i ci wachmani właśnie przychodzili często do Białoehrudy na handel. W Lidzie jednak było z tym gorzej.

Dostałam wtedy fikcyjną pracę w majątku Tarnowszczyzna, który przeszedł pod zarząd niemiecki. Przed wojną był to bardzo dobrze

utrzymany majątek z pięknym parkiem. Pracę tą załatwiłam sobie, ponieważ zaczęły się wywózki na roboty do Rzeszy, a tak posiadałam zaświadczenie, że pracuję dla Niemców i to chroniło mnie przed robotami przymusowymi.

Niemcy w stosunku do Polaków byli bardzo hardzi, ale w Białohrudzie nie było specjalnych antypolskich represji. Nie wolno było Polakom jeździć pociągami, więc do Lidy chodziło się na piechotę. W samej Lidzie pojawili się Volksdeutsche, m.in. najbardziej chyba znany zdrajca w Lidzie, mój kolega szkolny Jurek Ripper. Niemcom na ulicy trzeba było się kłaniać, ale ludzie na widok Niemca albo udawali, że poprawiają coś przy butach, albo schodzili na bok, byle się nie ukłonić.

Bardzo szybko zaczęły się represje wobec Żydów. Najpierw Niemcy łapali na ulicach Polaków, bardzo często moich kolegów gimnazjalnych i ci pod Lidą, koło lasu musieli kopać rowy. Tam do tych rowów prowadzono lidzkich Żydów i ich rozstrzelivano. Wśród rozstrzelanych byli także moi koledzy z gimnazjum np. Estera Ekhouzer, która na widok zamordowanych swoich rodziców dostała szału i zaczęła tańczyć po trupach, czy też Sara Pupko, bardzo utalentowana dziewczyna, pięknie grała na pianinie. Polacy, którzy kopali te rowy obserwowali też egzekucje i bardzo często zdarzało się, że Niemcy strzelali również i do nich. Dlatego też zaraz po wykopaniu rowów, chłopcy starali się jak najszybciej uciec z tego miejsca. Polaków zmuszano również po egzekucji do zakopywania tych trupów. W Lidzie było nieduże getto, ale zostało ono szybko zlikwidowane.

W majątku, w którym pracowałam, rezydował Niemiec, ale rządcą był Polak. Wiele młodych ludzi, podobnie jak ja pracowało tak fikcyjnie chroniąc się przed robotami w Niemczech.

Jako pewne odreagowanie w tych ciężkich czasach, była jakaś ogólna chęć do potańcówek wśród młodzieży. Wszyscy byliśmy ogarnięci szalem zabaw. Gdy tylko zebrało się kilku znajomych, organizowało się gramofon i płyty i tańczyło się do upadłego. Wszystko to po to, by uciec od tego koszmaru.

Od lipca 1942 roku byłam w AK w Białohrudzie. Miałam pseudonim "Królewna" i pełniłam służbę łączniczki u komendanta placówki plutonowego Ryszarda Szamreja-"Szarego". Do moich zadań należało również prowadzenie ewidencji wojskowych transportów

kolejowych na stacji w Białożrudzie. Przebiegała wtedy tamtędy ważna linia kolejowa Wołkowysk-Grodno-Lida. Oprócz tego byłam sanitariuszką. Pamiętam, jak po akcjach opatrywałam śmierdzące rany, prałam zakrwawione bandaże.

Mój oddział należał do 77 pułku piechoty AK, tzw. "siem- siemki". Bardzo wielu ludzi służyło wtedy na tamtych terenach w konspiracji i partyzantce. W zasadzie każdy, kto czuł się Polakiem był w partyzantce lub ją wspomagał. Mój ojciec również był w AK. Nawet mój trzynastoletni brat usiłował pójść do lasu. Ojciec, pracujący na kolei, brał udział w akcjach na transporty niemieckie. Ja sama byłam w szpitalu partyzanckim w Bielicy. Pamiętam, że w Niecieczy koło Bielicy wisiała biało-czerwona flaga. Mieścił się tam sztab "Ragnara". Był to człowiek bardzo kłótlivy, kłócił się z innymi dowódcami: z "Krysią", z "Lwem". Ale sama atmosfera Niecieczy była bardzo patriotyczna. Gdy wjeżdżało się do tej wsi, miało się wrażenie, że jest się w wolnej Polsce. Niemcy w tym czasie nie ruszali się z miast, bo bali się naszych partyzantów, więc na tych terenach chłopcy chodzili nawet w polskich mundurach.

Przechodziłam wtedy kurs sanitarny. Wprowadzał nas doktor Junak. Dzięk, lekarze, bracia Sienkiewiczowie mieli z nami zajęcia w szpitalu w Lidzie. Zajęcia z nami prowadził również lekarz, emerytowany pułkownik Ordyłowski. Człowiek przez cały czas był przejęty, że wszyscy się tak męczą i nie widać końca tej walki.

W okolicy był również majątek lekarza Narbutta, który był strasznym pijakiem. Przyjmował pacjentów tylko wtedy, gdy był trzeźwy, a na to trzeba było trafić. Był przy tym dobrym lekarzem i często ludzie stali pod jego domem i czekali na to, kiedy będzie w stanie przyjąć pacjentów. Doktor Narbutt żył z własną służącą.

Brałam udział w akcji w Bobrach koło Niecieczy i w akcji na Olzewo. Raz z jednym partyzantem mieliśmy dostarczyć mąkę dla oddziału. Jechaliśmy furmanką i udawaliśmy małżeństwo. Musieliśmy przejeżdżać koło niemieckiego posterunku. Jechaliśmy w nocy i na drodze oświetlili nas Niemcy, ale na szczęście nic nie zauważyli. Franek, z którym jechałam był cały mokry ze strachu, a ja nawet tym się zbyt nie przejęłam, prawdopodobnie

bnie dlatego, że byłam wtedy bardzo młoda.

Obok Białohрудy, w Dalekich była akcja na niemiecki pociąg, w której uczestniczył mój ojciec. Z Dalekich Niemcy wzięli wtedy zakładników. Pociąg wiózł żywność na front i po jego wysadzeniu w powietrze, z rozbitych wagonów wysypała się ta żywność, przeważnie owoce. Niemcy postawili przy niej wartowników i pod karą śmierci nie pozwolili ludności zebrać tych owoców.

W Lidzie z żywnością było bardzo krucho. Samo miasto było zniszczone. Nie bywałam tam często, ponieważ trzeba było chodzić do miasta 14 kilometrów na piechotę. Poza tym ubywało koleżanek. Niektóre były aresztowane lub wywiezione, a większość była w partyzantce.

Bardzo szkodzili wtedy Polakom Litwini. Wśród Białorusinów też było wielu konfidentów. Istniał bardzo poważny konflikt z partyzantką sowiecką. Ich oddziały rabowały ludność, mówiąc podczas napadów po polsku, by zwalić winę na AK. Często dochodziło z nimi do walk.

W lipcu 1944 roku uczestniczyłam jako sanitariuszka w operacji "Ostra Brama". Ranni partyzanci leżeli pod Wilnem w opuszczonych domkach i tam trzeba było ich opatrywać. Rany były różne i w różnych miejscach. Byłam wtedy bardzo młoda i do wielu rzeczy nieprzyzwyczajona. Opatrując tych młodych chłopców niejednokrotnie bardzo się wstydziłam.

W tym samym czasie wkroczyli znowu Rosjanie, a wraz z nimi masy żebraków. Drogami szły gromady kobiet i dzieci z tobołkami i po domach żebrały o żywność. Mówili, że to przez Niemców, a zgłodu jedli nawet szczury.

Zacząły się również masowe aresztowania. Sowietci strasznie prześladowali naszą partyzantkę. Wobec takiej sytuacji młodzi siedzieli po lasach lub uciekali na zachód. Legalnie żyły tylko kobiety.

Aresztowano wtedy mojego ojca i osadzono go w więzieniu w Grodnie. Mnie przesłuchiowano w domu. Rosjan wymuszając zeznania dawał mi pistolet, mówiąc, żebym strzelała do niego lub do świętych obrazów. Po tym fakcie zaczęłam się ukrywać. Ludziom, którzy chcieli repatriować się do Polski, zaczęto robić utrudnienia. Pierwszeństwo mieli ci, którzy mogli udowodnić, że mają rodzinę w Polsce. Ludzie załatwiali sobie lewe

dokumenty na wyjazd, byleby tylko uciec. Ci, którzy nie mogli poświadczyć faktu posiadania rodziny w Polsce, nie mogli wyjechać. Wielu ludzi zostawało, bo aresztowano kogoś z rodziny lub dlatego, ponieważ nie chcieli opuścić gospodarki.

Ja sama, by ratować siebie, wyszłam wtedy za mąż za naszego miejscowego organistę, jedynego oprócz księdza mężczyznę w kościele. Miał on rodzinę na Lubelszczyźnie i mógł legalnie wyjechać.

W Białohrudzie pozostała moja mama, ponieważ czekała na ojca, który w tym czasie siedział w więzieniu. Pozostały również moje dwie ciotki.

Wyjeżdżaliśmy we wrześniu 1945 roku. Na stacji w Lidzie podstawiony był pociąg z dużą ilością wagonów towarowych, takich, jakimi przewozi się bydło. W wagonie umieszczano nas po kilka rodzin. Razem z nami jechał ks. Aleksandrowicz z Niecieczy. Jechaliśmy okrężną drogą do Polski. Przez Wilno, Kowno, Królewiec do Olsztyna, a na Wszystkich Świętych dojechaliśmy dopiero do Warszawy. W drodze wszyscy strasznie płakaliśmy i śpiewaliśmy polskie pieśni patriotyczne, wszystkie, jakie kto pamiętał. Między Królewcem a Olsztynem zatrzymała nas niemiecka partyzantka i trzeba było zapłacić im okup, by pojechać dalej. Z Warszawy skierowano nas do Poznania do PUR-u, na punkt rozdzielczy. Nasz transport miał być skierowany do Gdyni, ale mąż koniecznie chciał jechać na Lubelszczyznę do swoich. W ten sposób odłączyliśmy się od transportu i trafiliśmy do województwa lubelskiego.

W 1955 roku pojechałam do Białohrudy po rodziców. Ojciec już wtedy był wolny. To co tam zastałam po dziesięciu latach nieobecności przeraziło mnie. Ludzie strasznie wystraszeni i zrusyfikowani. Wiele osób, które znałam sprzed wojny i czasów wojny było strasznie zrusyfikowanych i źle mówiło już wtedy po polsku. Zabrałam rodziców i więcej tam już nie pojechałam.

Spisał: Robert Kuratczak